

Bogdan Zakrzewski

Fredrowskie Jatwięgi i "Lubienie"

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 84/1, 3-26

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

BOGDAN ZAKRZEWSKI

FREDROWSKIE JATWIĘGI I „LUBIENIE”

1

*Mojemu cicerone,
prof. Włodzimierzowi Hołyńskiemu
z Rudek*

W Jatwięgach, sąsiadujących z Beńkową Wisznią i z Rudkami (około 45 km od Lwowa) gospodarował w młodości Aleksander Fredro, po powrocie z wojaczki napoleońskiej i po żywiołowych lampartiadach lwowskich, które ukróciła twarda decyzja ojca – Jacka. Oddał on Aleksandrowi w dzierżawę Jatwięgi, a jego brata Seweryna osadził w Beńkowej Wiszni. Pisze o tym w swych *Wspomnieniach* syn komediopisarza, Jan Aleksander, poświęcając Jatwięgom sporo miejsca:

Wróciwszy do kraju, mój ojciec osiadł w Jatwięgach, małej wiosce w sąsiedztwie Beńkowej Wiszni, położonej w uroczej okolicy wśród lasów nad rzeką Wisznią. [...] Nieraz mi mówił, że w latach od 1814 mniej więcej do 1828 cała jego intryta z Jatwięg wynosiła sześćset złr. wal. wied., a przybytkiem dochodu, którym jako młody człowiek opędzał kilka karnawałowych tygodni we Lwowie, była sprzedaż skórek z ubitych w jesieni lisów¹.

Jatwięgi są rzeczywistą kolebką pisarstwa Aleksandra Fredry, choć tego najczęściej nie dostrzegają albo nie respektują badacze. Rzeczywistą, ponieważ tu powstały pierwsze liczące się w jego dorobku komedie wraz z tą najlepszą: *Mąż i żona*. Tu także „Fredruś” „ujeżdżał swego Pegaza”, dzieląc się jego płodami z dawnymi kolegami – napoleończykami. W liście do Józefa Grabowskiego z dnia 22 XI 1817 pisze:

donoszę Ci, że na roli siedzę, gospodaruję cokolwiek, często zaglądając do miasta [tj. do Lwowa]. Na wsi poluję albo Pegaza ujeżdżam, którego ujeździć nie mogę –

Gdy się Pegaz zatnie wcale,
Siedzę na nim jak na skale,
Czy go głaszczę, czy go dręcę,
Kroku z niego nie wymęcę.

¹ *Wspomnienia Jana Aleksandra Fredry*. W: M. z Fredrów Szembekowa, *Niegdyś... Wspomnienia moje o Aleksandrze Fredrze*. Lwów 1927, s. 114–116. Dalej do książki Szembekowej odsyłam skrót S. Ponadto stosuję tu następujące skróty: F = A. Fredro, *Pisma wszystkie*. Wydanie krytyczne. Opracował S. Pigoń. Wstępem poprzedził K. Wyka. T. 11–14. Warszawa 1960–1976. – J = L. Jabłonowski, *Pamiętniki*. Opracował oraz wstępem i przypisami opatrzył K. Lewicki. Kraków 1963. – Pierwsza liczba po skrócie wskazuje tom, liczba po łączniku – część w obrębie tomu, następną zaś liczba – stronicę.

Lub gdy bryknie w swym narowie,
Wagę tracę, nie chcąc siadam,
To na zadzie, to na głowie,
I przy końcu często spadam.

A choć posłusznym zostaje
I pięknym wzbija się lotem,
Cóż za korzyść dla mnie daje,
Kiedy w krótką chwilę potem
Z tego górnego wysokoju
Lecę na dół jak z obłoku.

Nie małą mam pracę, jak możesz miarkować, i potłuczone nieraz kości nie mogą mnie rozumu nauczyć, bym zarzucił Pegaza; wybacz więc i teraz tej nieszczęśliwej namiętności, kochaj mnie zawsze i bywaj zdrow. [F 14, 50–51]

A na zakończenie listu przesyła koledze z wojen napoleońskich, wielkiemu amatorowi twórczości obsceniczej, omal bibliograficzną informację o swych dwóch nie wydanych jeszcze „dziełach” pornograficznych, pisanych „w guście” adresata. Informacja ta jest o tyle cenna, iż bezdyskusyjnie weryfikuje autorstwo owych utworów (których Fredrze ciągle nie przyznawał jego wielki badacz – Stanisław Pigoń), określając czas ich powstania i kwalifikując je do „lat szalonej młodości”, a więc do okresu podlegającego „dziś” jakiejś tam absolucji, należącego do zamkniętej już przeszłości. To są szczegóły bardzo ważne dla jatwieskiej biografii Fredry, który odchodzi od „grubej pornografii”, spotykając na swej drodze prawdziwą, oczyszczającą go miłość, dramatycznie zawężloną. Mowa, oczywiście, o Zofii z Jabłonowskich Skarbkowej, z którą Fredro spotykał się nie tylko we Lwowie, ale i w niezbyt odległym Lubieniu Jabłonowskich – głośnym kąpielisku wód siarczanych, gdzie leczyli swe wojenne przypadłości „Fredrusie”, umilając sobie czas karcietami, balami, widowiskami teatralnymi.

Syn Fredry akcentuje wyraziście, iż to właśnie w Jatwiegach narodził się wielki komediopisarz:

Mój ojciec, jak to już wyżej powiedziałem, przepędzał we Lwowie tylko kilka zimowych tygodni. Ile, to już od ilości lisich skórek zależało; resztę roku siedział w Jatwiegach, gdzie zaczął pisać swoje komedie. Wiele lat później, gdy raz przejeżdżaliśmy przez Jatwigi, on na dzielnym gniadym koniu, ja na kucu, pokazywał mi sosnę, pod którą leżąc napisał pierwszą scenę komedii: *Mąż i żona*. Dziś już tej sosny nie widzę; czy ją burza powaliła, czy siekiera ścięła, nie wiem; dosyć, że wróciwszy do kraju po dziewięcioletniej emigracji, już jej nie zastałem. Wznosiła się ona nad Jatwiegami od strony lasu, zwanego Bezarabiną.

Gdy już trochę pisać zacząłem, ojciec, który w ogóle nie lubił mówić o swym autorstwie, wrócił do tego wspomnienia i sam się dziwił, że tę komedię, którą do najlepszych można policzyć, zaczął bez planu i już miał kilka scen napisanych, gdy właściwego węzła sztuki ani jej rozwiązania jeszcze nie był znalazł. W istocie, jest to rzadki, może w swoim rodzaju jedyny wypadek, by autor dobrą komedię napisał nie mając przy zaczęciu w myśli przynajmniej ogólnych jej zarysów².

Fredrowskie Jatwigi odwiedzałem trzykrotnie i stąd to moje impresyjne, nostalgiczne wspomnienie:

Rozkołysane turkusowymi trawami wzgórze były łagodnie bramowane bliskimi horyzontami ciemnych lasów. W niecce zieleni smyknęła płomieniorudym grzbietem liszka, która mi przypomniła Fredrowskie trofea myśliwskie, latające skromny budżet karnawałowych szaleństw we Lwowie. Pnące się

² *Wspomnienia Jana Aleksandra Fredry*. S 122–124.

w piargach i spadające do jarów chłopskie dróżki skręcały ku przycupniętym chałupom i ich biednym obejściom. W dole Wiszeńka kipiącym prądem pędziła zakolami skoków przez łąki niby spieniony górski potok, którego nie potrafiły prześcignąć spłoszone łąnie. Do dziś jeszcze, jak w młodości Fredry, ostała się na wysokim wzgórku niema cerkiewka, błyszcząca niebieskimi baniami kopuł, zanurzona w ciemnolistnych drzewach.

Na jednym ze wzgórz, za mostkiem młyńskim, pod strażą rozpiętej wysoko korony opiekuńczego drzewa białe ściany niskiego dworku z otwartą werandą o zadaszeniu wspartym na czterech kolumnach chłopskiej ciesiołki. Taki był ongiś „zamek w Jatwingach”, jak adresuje żartobliwie list (z 7 II 1819) do Aleksandra jego brat Henryk; list makaronicznie humorystyczny, pisany „w starym stylu”. Palisady niezdarnych płotów obiegały podwórze i zaniebdany ogród. Posłyszałem ujadanie burków podwórzowych, do złudzenia przypominające jazgot psów gończych Fredry, dopominających się o wyprawę na „lisiura”. „W psiarni nazwisk i maści” było niemało!

Po dworku Fredrowskim nic już nie pozostało, poza jego podobizną akwarelową, owoczesną, autorstwa Józefa Swobody, Czecha, nauczyciela dzieci Fredry. Miejsce dworku zajęła uboga schludna klecina, ze starym jej mieszkańcem, oczekującym śmierci, który powitał mnie odświętną polszczyzną wspomnieniową, z czasów jakby austriackich. W jego sękatych dłoniach poczułem serdeczność gościny, potwierdzonej później szklaneczką „kopciuchy”, toastu spełnionego ze wspólnej musztardówki.

Jatwięgami interesował się Fredro także znacznie później, gdy zrezygnował już ze statusu ziemianina na korzyść „rentiera” zajmującego lwowski dworek na Chorążczyźnie. Oddawszy synowi gospodarkę w Beńkowej Wiszni z przyległościami, nie omieszkał wszakże przekazywać mu różnorodnych instrukcji i wykazów, np. w sprawie przyszłych „rotacji rąk” i „podziału gruntów” w Jatwięgach czy planowania budynków gospodarskich³.

Jako dzierżawca ojcowskich chudych Jatwięg był Aleksander Fredro — oczywiście — hołyszem wobec mieszkańców wielkopańskiego Lubienia, Jabłonowskich, i ich złotodajnego kąpieliska. Młodziutką Zofię Jabłonowską wydała jej chytra na pieniądze matka za starego, szpetnego, lecz arcybogatego Stanisława Skarbka, nie przypuszczając, iż taki golec z Jatwięg może odebrać żonę rozpustnemu Skarbkowi, amatorowi lwowskich aktorek. Ale uroczy „Fredruś”, zdobywca wielu łatwych kobiet z towarzystwa, napotkał tu nie przewidziane i nie do przewyciężenia trudności, choć odczuł od razu obopólny magnetyzm serca. Wszakże nieszczęśliwa w małżeństwie Zofia Skarbkowa nie nadawała się do roli bohaterki komediowych z *Męża i żony*.

Była to prawdziwa miłość, która mimo wielu przeszkód (swatano Fredrę np. z rosyjską hrabianką Elżbietą Buturlin) wytrzymała ogromną, bo 11-letnią próbę czasu, aż do uzyskania, z taką niecierpliwością oczekiwanego, rozwodu małżeństwa Skarbków, udzielonego wreszcie przez... cesarza — na tej zasadzie, iż nie we wszystkich kościołach należących do rozlicznych włości Skarbka ogłoszono... ich zapowiedzi! Ślub kościelny w odległej Korczynie odbył się, gdy ona miała już lat 30, on zaś był 35-letnim mężczyzną. Zaiste, próba czasu potwierdziła ich dozwonną wierność.

³ *Fredro i fredrusie*. Opracował B. Zakrzewski. Wrocław 1974, s. 40, 58, 73.

Ten wybuch miłości Fredry do Zofii Skarbkowej, poznanej zapewne we Lwowie czy w Lubieniu, przypadł w swej ewolucji uczuć lirycznych, romantycznych właśnie na okres gospodarowania Aleksandra w Jatwiegach. Ale nie traktujemy tej ewolucji na zasadzie teatralnego *deus ex machina*. Jak to bywa w prawdziwych życiorysach, prowadziła ona do „uszlachetnienia” serca rozpustnego fircyka (który się wyszumiał) w dwojaki sposób, choć nigdy nie naruszyła więzi wiernych sobie do grobu małżonków.

Z lichego dworku jatwieskiego słał Fredro do Lubienia listy miłosne, otrzymując tajnie przekazywane zaklęcia uczuć Zofii. Niestety, cała ta korespondencja dwojga kochanków przepadła bezpowrotnie, jak informuje o tym Maria z Fredrów Szembekowa w swoich wspomnieniach:

Przyszedłszy pewnego wieczoru do pokoju babki, ujrzałam ze zdziwieniem dwa próżne krzesła stojące przed piecem, w którym wśród stosów popiołu tliły się jeszcze szczątki papierów. Babka, jak zwykle o tej godzinie leżąca już w łóżku, wydawała się smutna — dziadek milcząco i głęboko zamyślony siedział obok niej w fotelu... Musiało tu zająć coś niezwykłego — pomyślałam sobie — ale co takiego? Brat mój, który zawsze pierwszy o wszystkim wiedział, szepnął mi do ucha, że dziadostwo przez cały wieczór palili swoją przed- i poślubną korespondencję...

...Służność mieli starszkwowie drodzy zdobywając się na ten czyn bolesny; na takich listach, pisanych wprost z serca do serca, żadne oko obce, choćby rodzonych, kochających dzieci, spocząć nie powinno... A przed spaleniem, po raz ostatni odczytując je, płakali nad nimi oboje... [S 79]

W tych spalonych listach menipejskich były zapewne miłosne wiersze Fredry, których już nigdy nie poznamy. Jego bowiem dorobek poetycki dowodzi w sposób znamieny szczególnego upodobania do konfesyjnych wierszy „osobistych”. Posiadamy wszakże bardzo ważkie, intymne poświadczenia uczuć Aleksandra — w jego korespondencji z braćmi i przyjaciółmi. Są to nie tylko aluzyjne napomknienia, ale całe „rozprawki” na temat miłości i małżeństwa, wypływające z potrzeby wynurzeń anonimowej tajemnicy jego serca.

Bracia Fredry, zaniepokojeni losami tej nieszczęśliwej miłości i wynikających stąd splinów Aleksandra, stali listy do Jatwieg z rozmaitymi radami, w żartobliwym, poważnym lub konsolacyjnym tonie. Oto Julian Fredro pisze z Cisnej 7 II 1821:

Kiedy już tak ostatecznie, ile się zdaje, jesteś zdecydowanym nie zerwać różeczki [!] mirtowej (co by wiele przeszkadzało w tym czasie), to roztwórz kampanię z tym tak strasznym i śmiałym nieprzyjacielem; wszakże im większe ciernie i głogi, tym większe zwycięstwo. Sława byłaby to nie lada tyle lat niewyciężonego pokonać. [Chodzi o sprawę rozwodową.]

Ale że to ja czasem lubię morał powiedzieć, więc i teraz powiadam: Pomyśl, panie bracie, że się do 3-go zbliżacie krzyżyka, a Wolko [tj. arendarz z Jatwieg] już raty powypłacał i pszenicę do Gródka zabrano. Trzeba by więc coś o jutrze pomyśleć, jakeśmy to często w Jatwiegach gadali. [F 14, 324]

Aleksander natomiast zwierzał się swemu najserdeczniejszemu przyjacielowi „z lat dziecinnych” — Ignacemu Konarskiemu (list z 11 IV 1817): „Książki, wiersz, wszystko zaniedbuję, miłość całego mnie zajęła [...]” (F 14, 44).

W liście do brata Maksymiliana pisanym z Jatwieg 18 XII 1819 Aleksander wyjawia swoje zdanie o miłości, nie pozbawione subiektywizmu, a więc — jak akcentuje — nie dotyczące „miłości małżeńskiej [...] która] jest całkiem [inna], inne sprawia rozkosze, mniej żywa, ale trwalsza i w swoim sposobie nieporównana”.

Spokojności mojej duszy zdajesz się nie wierzyć, powiadasz, że jest powierzchowna, że jeszcze nie zgasła iskierka miłości, która w płomień tyle razy już wybuchnęła. Nie przeczę, że więcej razy może kochałem jak kto inny, nie przeczę, że się jeszcze kochać będę, ale teraz zupełnie jestem spokojny... Jeżeli nawet będę się kochać, bądź pewnym, że bardzo roztropnie. [F 14, 58–59]

To zapewnienie o osobistej „roztropności” jest woltą znamioną dla dalszych wynurzeń Aleksandra, który chce im nadać przedmiotowość literackich wypowiedzi. W rzeczywistości jednak – najbardziej autobiograficznych.

Pierwsza tylko miłość – podług mnie – niebezpieczną stać się może rozsądkowi, ale razem jest największą rozkoszą w życiu. Cóż może wyrównać temu lubemu marzeniu, że wiecznie będę kochany, że wiecznie kochać będę! [...] Złączenie się duszy z duszą skrytym węzłem, nie przewidując go wprzód. Jestem, jestem kochany! Wielkie słowo! Sam sobie je powtarzam, powtarzają mi drogie usta i ledwie śmiem wierzyć mojemu szczęściu. Napawam się rozkoszą – żyję cały w obecności – przeszłość i przyszłość niczym jest dla mnie. [...]

Kto pierwszy raz się kocha, jest jak [...] ciemny, co wzrok odzyskał; kędy krok zwróci, wszędy zachwycające przedmioty, wszędy dusza jego na[d] siebie się wynosi. [F 14, 59]

Ów wykład epistolarny o miłości, sformułowany ze szczerego popędu „literackiego serca”, odsłania nam jej szlachetniejszą i głębszą odmianę, jeśli ją porównać z równoczesową koleżeńską korespondencją Fredry, gdzie pojawiają się jeszcze pornograficzne wierszyki świntuszające, w którym podmiotem bywa nieraz sam Rudzio.

W Jatwiegach formuje się jednocześnie filozoficzno-etyczny światopogląd Fredry – moralisty, poszukującego istoty „szczęścia”, o czym np. zaświadczają pośrednio listy jego przyjaciela, Wincentego Skrzyńskiego, będące odpowiedzią na zaginioną korespondencję Aleksandra. Tu następował zatem przełom w bujnym życiu erotycznym Fredry. Do wspomnień już należały lata „szalonej młodości”, pełne „dawnych przestępstw miłosnych”; lata, w których – jak informuje kolegę pułkowego, Józefa Grabowskiego, w liście z 1817 r. – powstawały dwa najobszerniejsze utwory obsceniczne (F 14, 51). Nie był to raptowny odwrót od rozpasanego erotyzmu, choć jego alternacją stawała się prawdziwa, czysta miłość, tym szlachetniejsza, iż nie spełniona, tym głębsza i „rozumowa”, bo z myślą o finale małżeńskim. Miłość poświadczana wiernością obojga zakochanych, wytrwałością w walce o ich połączenie.

Wbrew biadoleniu literackiemu Fredry na opieszałość swego Pegaza był to okres płodny dla twórczości dzierżawcy Jatwieg, którego solitudy wiejskiej nie przerywało bujne i niespokojne życie towarzyskie. Więcej jeszcze czasu niż na pisanie poświęcał na rozległą lekturę, uzupełniającą jego dorywcze w amatorszczyźnie wykształcenie. Spośród tych tekstów najbardziej wciągały go „wewnętrzne przedstawienia teatralne”, tj. lektura utworów dramatycznych.

Aleksander, urządzając się w ciasnych izdebkach przydzielonego sobie dworku w Jatwiegach, poza sprzętem myśliwskim zaczął gromadzić systematycznie także zasób lektury, skupywał utwory literatury pięknej polskie i francuskie. Skupywał przygodnie, zdany w tym na pomoc księgarzy-domokrąźców. Sam opowiedział, jak od antykwariusza Igła zakupił Moliere. [F 13-2, 378, *Dodatek*]

Doradcami i dostarczycielami lektury byli księgarze i wydawcy lwowscy (np. Jan Milikowski), przyjaciele oraz bracia.

A oto owa relacja wspomnieniowa Fredry „o szczęśliwym trafunku”, który „sprowadził” mu „Żyda antykwariusza [tj. Dawida Igła – protoplastę

słynnego rodu antykwariuszy lwowskich], co chodząc po domach z książkami przyniósł [mu] Moliera”:

Nie myślałem jeszcze o autorstwie, gdy jednego poranku 818 r. wszedł do mnie Żyd antykwariusz z książkami, kupiłem od niego dzieła Moliera w 7-miu tomikach za dukata. Pierwszy raz przeczytałem Moliera. [F 14, 183]

Zapłaciłem mu dukata, a zabrałem arcydzieła, dotąd mi prawie obce; bo jedną tylko komedię tego mistrza miałem sposobność widzieć na scenie paryskiej.

Biorąc za przewodnika wzór tak nieśmiertelny, wyraźniej zacząłem pojmować powołanie autora dramatycznego i odtąd wziąłem się do studiów na serio. [F 14, 187]

Wśród innych nabytków domowej biblioteczki jatwieskiej znalazły się m.in. *Wybór różnych gatunków poezji z rymotwórców polskich dla użytku młodzieży* (cz. 1–3, Warszawa 1811–1814), Bentkowskiego *Historia literatury polskiej* (t. 1–2, Warszawa 1814), no i fundamentalny 6-tomowy *Słownik języka polskiego* Lindego (Warszawa 1807–1814). Słownik, który towarzyszył Fredrze – na biurku – przez całe jego życie pisarskie: „Na tym się po polsku uczyłem” – mawiał.

Poza Molierem w bibliotece Fredry znajdowały się inne dzieła w języku francuskim, m.in. następujących dramaturgów: Pierre Corneille (3 tomy), Jean Baptiste Racine (3 tomy), Prosper Crébillon (3 tomy), J. F. Regnard (5 tomów). A także książki innych autorów, np.: Boileau-Despréaux, J. J. Rousseau, J.-F. Collin d’Harleville, J. La Fontaine, F. Malherbe, Owidiusz. A pośród książek w języku polskim: *Iliada* w przekładzie F. Dmochowskiego, *O wymowie i stylu* S. Potockiego, *Pisma* A. Felińskiego, *Słownik mitologiczny* A. Osieńskiego, *Śpiewy historyczne*, *Jadwiga, drama w 3 aktach* oraz *Pan Nowina, komedia wierszem* J. U. Niemcewicza, *Teona, tragedia w 3 aktach wierszem* A. Chodkiewicza, i inne (F 13-1, 289–290, *Katalog biblioteki domowej z lat 1824–1825*).

Pierwszym płodem komediowym powstałym w Jatwiegach była jednoaktówka wierszem pt. *Intryga naprędce* (1815 r.), o której genezie informuje Fredro w swej autobiografii:

Z ojczystych wzorów, osobliwie współczesnych, niewiele mogłem skorzystać; gdy nawet na samym wstępie, zwyczajem młodocianym, porwałem się do skrytykowania świeżo wyszłej komedii Niemcewicza *Pan Nowina*, którą porąbałem w niemłosierny, a jak teraz widzę, w najniedorzeczniejszy sposób.

Szermierka ta dodała mi jednak odwagi, gdy pewnego dnia, bez żadnego przygotowania, prawie bez namysłu, zasiadłem do stolika i napisałem wierszem jednoaktową komedię *Intryga naprędce*, z której to później w rozszerzonych ramach zrobił się *Nowy Don Kiszot*.

Tę komedię posłał Fredro do oceny „Nepomucenowi Kamińskiemu, jedyńemu znawcy i doświadczonemu praktykowi”.

Kamiński komedię pochwalił i zrobił uwagę, że jest w niej jakiś plan logicznie przeprowadzony. Komedia była graną i nikt o niej nie wspomniał; odebrałem ją do poprawy, aby już nigdy nie wróciła na scenę.

Około tego czasu napisałem inną komedię: *Kwita*, i wodewil: *Teatr na teatrze*; lecz gdy Kamiński żądał, aby jedną skrócić, a druga potrzebowała muzyki, obie utonęły w wiecznym zapomnieniu. [F 14, 187]

Prócz tych pierwszych, niezbyt fortunnych prób powstawały tu komedie, które zdobywały już sukcesy teatralne i zainteresowanie krytyków: *Pan Geldhab* (1818), *Mąż i żona*, *Zrzedność i przekora* (1820?), *Cudzoziemczynna* (1822), *Pierwsza lepsza*, sygnowana na końcu autografu: „25 marc[a] 823

w Jatwiąg[ach]”. W sumie ten dorobek komediowy z Jatwiąg, które Fredro opuścił obejmując po bracie Sewerynie Beńkową Wisznię, jest znaczący i w pełni lokalizuje tutaj gniazdo komediopisarstwa. Wczesne swoje wiersze, „ułamki” listów, artykuły publicystyczne wpisywał Fredro do notatnika z lat 1813–1820 pt. *Książka dla mnie samego*. Z jego woli ocalały szczupłe – niestety – fragmenty (chyba mniej intymne). Niektóre dostały już zaszczytu druku w „Pamiętniku Lwowskim”: *Rzut oka na teraźniejsze wychowanie młodzieży*, wiersz *Strumyk*, bajka *Czyżyk i zięba*.

Nie bez złośliwości i zmyłek faktograficznych opisał okres jatwięskiej twórczości Fredry nieprzyjazny mu szwagier, Ludwik Jabłonowski, akcentując, iż:

[Aleksander], jak mawiać lubiał, na tej dzierzawie biedował – mając na śniadanie kieliszek kopciuchy, na obiad drugi, a na kolację trzeci – <pospołu> z przyjacielem i sługą Jędrzejem. [...] [Tu] pisał wiele liryków w sposobie Węgierskiego lub Godebskiego, przepolszczył osławioną erotyczną tragedię *Abata Casti* i w dosadniejsze barwy ubrał sztukę kochania. Żył, jak mógł, polując zawzięcie z sąsiadami, szczególnie <z> najbliższym, bratem moim Kazimierzem, pierwszym natenczas w Galicji myśliwym. Wspomnienia z owych czasów dały mu na myśl do <napisania> nieszczęśliwego poemaciku *Drapieżny*.

Podrostkiem <będąc> widywałem go często u brata i w kniei, na siwym podjezdku, w zielonej kurcie, miał wtedy jeszcze coś wojskowego i bogaty zbiór przypowieści, facecji i wspomnień pułkowych. Zawsze zgrabnie i dowcipnie podane, często tylko parą słów rzucone, czyniły go w męskim towarzystwie przyjemnym i pożądanym. Przy kieliszku umiał spojrzaniem, półuśmiechem, kiwnięciem ręki obrócić w śmieszność cudze znalezienie się lub powiedzenie. Były to błyski dla bębna, jakim byłem, do zrozumienia trudne; raziło mnie tylko w jego dowcipach (co bez wyjątku wszystkim Fredrom wrodzone) chętne rozmazywanie najobrzydliwszych obrzydliwości, co przy obiedzie często najsmaczniejszy kąsek wypłuć zmuszało. Fredrowie przeczuli Zolę, lecz w tym względzie przewyższyć ich nie mógł. [J 107–108]

W Jatwiągach powstawały również utwory literackie o tematyce familiarno-przyjacielskiej, a więc związane bezpośrednio z bywalcami dworku. Eksponujemy je nie bez uzasadnienia, kierując się wymogami podjętego tematu i zdając sobie sprawę z pominięcia wielu wierszy o innym charakterze, też w Jatwiągach napisanych, jak np. rycerska duma *Hedwiga*, o dużym ładunku liryzmu, którą opatrzył Fredro datą: „1 grudnia 1819 roku”.

Do grupy określonej przez nasz temat należą głównie trzy listy poetyckie: *Polowanie. Do Kazimierza Jabłonowskiego*, *Do Dominika N[etrebskiego]* oraz *Do Jędrzeja*. Wszystkie są owiane serdecznością żartobliwą i urodą bujnego życia.

Kazimierz Jabłonowski był bratem Zofii Skarbkowej, wówczas ukochanej Fredry, którego łączyły z przyszłym szwagrem nie tylko więzy przyjaźni łowieckiej, ale i sojusz w długich staraniach o rozwód Zofii. Jabłonowski bywał często w Jatwiągach, a Fredro w jego sąsiedzkich Dubaniowicach. Przy gęsto krążących kielichach Fredro chłonał sensacyjne opowiadania wielkiego myśliwego, organizatora świetnych polowań z chartami, człowieka – dla rodziny – „do dzikości srogiego”. To on uczył sztuki myśliwskiej młodego dzierzawcę Jatwiąg, wtajemniczał go w uroki języka łowieckiego, którego terminologię myśliwską wprowadził Aleksander w sposób nowatorski i jakby eksperymentalnie do swego listu poetyckiego. Stanowił on również ludyczną pochwałę narodowej sztuki łowiectwa oraz piękna natury, przeciwstawianych innemu światu – temu porzuconemu już światu lwowskich salonów:

Niech piżmem zaprawiony szambelan za drzwiami
 Cieszy się zmienną łaską, karmi nadziejami;
 Przykuty do szkatuły liczygrosz bogaty
 Z procentu lichwiarskiego niech waży dukaty;
 Niech się stroją modnisię, kłócą nowiniarze,
 Niech krytyk zezem patrząc zawsze na wspak maże,
 Niech naśladowców w Polsce zagorzała rzesza,
 Małpując obce głupstwa, gniewa i rozśmiesza –
 My, Kazimierzu, na złe zapomniawszy losy,
 Wyglądajmy ponówki lub jesiennej rosy.

[.]

Lecz nim w strzemię włożym nogę,
 Niechaj flaszka biegnie w koło,
 Zakropimy się na drogę,
 By żyć zdrowo i wesoło. [F 11-1, 73–74]

List poetycki *Do Dominika N[etrebskiego]* ma bardziej osobisty, żartobliwo-zwierzeniowy charakter, z przypomnieniem własnej biografii napoleońskiej, z humorystycznym obrazem przyszłego szczęścia rodzinnego – owocu miłości i „stałych jego praw”; z trzykrotnie powtórzoną refrenicznie, wariantową radą przynaglającą: „Wierz mi, dalibóg, trzeba nam się żenić”.

Nie przelewki to, panie Dominiku!
 Stożem obadwa na trzecim krzyżyku,
 Czas przestać zamki budować na lodzie,
 Czas o istotnej pomyśleć swobodzie.
 Pomyśleć łatwo i myśleć nie wadzi,
 Lecz gdzież jest droga, co do niej prowadzi?

Ja powiem szczerze, że w szarej godzinie,
 Gdy z lulką w rękę siadę przy kominie,
 I moją przyszłość chcąc roztrząsać ściśle,
 Tak mocno śledzę, tak głęboko myślę,
 Zadaję, zbijam, bronię zdania własne,
 Aż się zapomnę i na koniec zasnę...
 A gdy żar pryśnie lub się kłoda stoczy
 I ja się zerwę przecierając oczy,
 Znów dalej myślę i myślę, i myślę,
 A gdy świat cały obiegnę, okryślę,
 Czy z sobą w zgodzie, czy się z sobą kłócę,
 Tam, skąd wyszedłem, tam na koniec wrócę:
 To jest, że co złe, to chciemy odmienić;
 Wierz mi, dalibóg, trzeba nam się żenić. [F 11-1, 80]

Cytowany fragment jest jakby odbiciem rzeczywistej sceny z jatwieskiego dworku, realnej sytuacji życiowej Fredry, za szczęściem rodzinnym tęskniącego w długim, trudnym i pełnym przeszkód okresie toczącej się sprawy rozwodowej. Znał ją dobrze Dominik Netrebski, „nieustraszony sprzymierzeniec” tej sprawy, świadek arcyskromnego ślubu Aleksandra z Zofią (9 XI 1828) w kościele korczyńskim – na uboczu targowiska plotkarskich salonów.

Gdy Fredro, przynaglany przez brata Maksymiliana, wyjechał w r. 1824 do Florencji, by starać się o rękę Rosjanki, Elżbiety Buturlin (miało to przerwać beznadziejne oczekiwanie na rozwód Skarbkowej), Netrebski wysyła do niego list, w którym czytamy:

Niezmiernieśmy się z Sewerynem [Fredrą] rozczulali z okazji Twojego oddalenia się i wśród łez, płaczu i narzekania powtarzaliśmy ustawicznie: *Il est perdu pour nous* [jest

dla nas stracony]. Może to nieprzyjemna wróżba, której spełnienia wcale bym sobie nie życzył.
[F 14, 357]

Netrebski, z sąsiedzkich Pohorzec, był rówieśnikiem Fredry, który — nieskory skądinąd do zwierzeń — darzył tego serdecznego przyjaciela, częstego gościa w Jatwiegach, szczególnym zaufaniem.

Nb. całe zakończenie owego listu poetyckiego *Do Dominika N[etrebskiego]* (od w. 61) wykorzystał Fredro, z niewielkimi zmianami, jako wyznanie Gustawa w *Ślubach panieńskich* (akt IV, w. 149–166). Oto wersja z listu:

Ach, być kochanym — wszyscy szczęściem głoszą.
Mym zdaniem, kochać jest większą rozkoszą:
Los kilku istot zrobić swoim losem,
Czuć i żyć tylko drugich dusz odgłosem,
Dla dobra innych cenić własne życie,
Dla nich poświęcać każde serca bicie,
Światem uczynić najmniejszą zagrodę,
Tam mieć cel pracy i pracy nagrodę
I kończąc cicho wytknięte koleje,
Za grób swój jeszcze przeciągać nadzieje:
Oto jest szczęście, kto go umie cenić.
Dalibóg, wierz mi, trzeba nam się żenić. [F 11-1, 81–82]

Fragment ten, który — powtórzmy — powstał w Jatwiegach, pisał zapewne Fredro w poetyckiej konwencji nadziei na szczęście rodzinne z Zofią Skarbkową. To osobiste wyznanie musiało mieć dużą wagę twórczą dla Fredry, jeśli — po latach — obdarzył nim Gustawa.

Najcenniejszym wszakże dla nas, obyczajowo-humorystycznym świadectwem literackim „ujeżdżania” (z przeszkodami) przez Fredrę jego poetyckiego „pegaza” z Jatwieg jest list *Do Jędrzeja* — Jędrzeja Czerwińskiego, wiernego nigdyś ordynansa z wyprawy napoleońskiej do Rosji, który na łaskawym chlebie swego pana dokończył żywota w Jatwiegach w 1862 roku. Tenże Czerwiński, wzięty w 1812 r. do niewoli rosyjskiej i włączony karnie do rosyjskiego wojska, walczył z powstańcami gruzińskimi i czerkieskimi, a po powrocie z niewoli zjawił się w Jatwiegach, by służyć swemu dawnemu oficerowi. Z ordynansa przedzierzgnął się w zaufanego służącego, „czciela Bachusa”, „ospałego” lokaja. Groteskowy mono-dialog, prowadzony przez Fredrę-autora z natrętnym sługą — Jędrzejem, który kochając swego pana „dokucza [mu jako] poecie”, uzyskuje rozbijająco-dobrotliwą puentę: w zgodzie obu *quasi-rozmówców*. Trzeba przytoczyć w całości ów omal nie znany czytelnikom list do Jędrzeja — z uwagi na niepowtarzalny klimat jatwiejskiej pracowni poetyckiej Fredry:

Jędrzeju! Sługo wierny, przyjacielu rzadki,
Ty, co ze mną dzieliłeś wojenne wypadki,
Ty, co w całej zdobyczy z moskiewskich płomieni
Wziąłeś szcztokę, trzy pończochy i kilka grzebieni,
A potem w szybkim kłusie przed brodatym wrogiem
Dostałeś dzidą w rękę, przez plecy batogiem,
I za twoje usługi salopką okryty,
W twarde mrozy — Kaukazu odwiedziłeś szczyty.
Jędrzeju! znam twe cnoty, umiem wierność cenić,
Nic mnie w życiu dla ciebie nie zdoła odmienić,
Będziem z sobą, aż póki w ostatecznej dobie
Ty mi grudki nie rzucisz albo też ja tobie. —

Ale powiedz, człowieku, jakaż to uraza
 Każe ci drażnić Feba i ćwiczycę Pegaza?
 Co dziewice Parnasu mogły ci przewinić,
 Że gwałtem ich czciciela chcesz niemym uczynić?

Zaledwie boski promyk w przelocie uchwycę,
 Myśl moją nim zapalę, świat wyższy oświecę,
 Zaledwie pędząc w górne gwieździste przestworze
 Ziemię sobie zasłonię, a niebo otworzę –
 Wchodzisz, stajesz przede mną, zawsze w jednej mierze,
 I nudną prozą pytasz, co chcę na wieczерzę,
 Jak gdybym ja przy złotym pityjskim trójnogu
 Mógł z tobą o leniwym rozprawić pierogu!
 Precz, istotno bez rymu! – Poeta o głodzie
 Najrzewniejszy w sielance, najszczytniejszy w odzie.

Wyszedłeś – ale wkrótce już stoisz na nowo,
 Zaczynasz swoją wiecznie niezmienną przemową:
 „Żeby się pan nie gniewał...” i tym samym gniewasz.
 Lecz cóż to za interesa, i tak często miewasz?
 Tasiemeczkę przyszyłeś, wprawileś skałeczkę,
 Jakiś drucik kupiłeś, skleciłeś fajeczkę.
 I zawsze odpierane naprawiając szyki,
 Wstępujesz z miską w rękę: – „Panie, to rydzyki”.
 Co! Miska! W dytyrambie, na średniówce – miska!
 I dłączego: rydzyki, kiedy to rydzyska?
 Jędrzeju! Ach, Jędrzeju, chcesz mnie zabić, widzę;
 Ja lubię druty, skałki, tasiemki i rydze...
 Ale miej Boga w sercu, daj chwilkę pokoju. –

Jestem więc sam – lecz lutnia potrzebuje stroju,
 Muszę przerwanej myśli wiązać lotny wątek,
 Muszę, chcąc dalej śpiewać, powtórzyć początek,
 I już przez nowe światło, nowe uniesienie,
 Czuję przytomność Feba, muz wdzięcznych zbliżenie,
 Wtem... Przebóg! Jakiś szelest! Ach, klamką ktoś skręci...
 To ty!... Wchodzisz radośnie, pełen dobrych chęci,
 I ćwiartką cielęciny, jak głową Meduzy,
 Gromisz mi Apollina i rozganiaasz muzy!
 Wntczas pędzę cię, ścigam gdzieś aż na podworze,
 Drzwi zamykam, klucz chowam... lecz co to pomoże!
 Ty stajesz gdzieś u szpary, ty, włazłszy na stołek,
 Z nowinką do okienka pukasz jak dzieciółek,
 Aż póki tracąc wenę i cierpliwość razem,
 Prozaicznym cię jakim nie zelżę wyrazem.

Wszystko to jednak fraszki, wszystko to nic jeszcze,
 Masz ty ciągi dotkliwsze na zapalę wieszczę.
 Słuchaj! Kiedy czatując w gorzkim, krwawym pocie,
 Złapię kogo nareszcie jakby na przelocie
 I wciągnę jak barana, by słuchał mych wierszy,
 Zaledwie poszyt w rękę, kończę arkusz pierwszy
 I raz gromiącym basem, raz czulącym jękiem,
 Głośno, cicho, trzęsąco, coraz nowym wdziękiem,
 Aż mi gra w piersiach, trzymam, obrabiam słuchacza,
 Patrząc w oko, jak w tuza, czy już łżę wytacza –
 Wtedy to, zdrójco, tobie nie braknie powodu
 Do ciąglego tu, owdzie wchodu i wychodu,
 To musisz kurz obetrzeć, to fajkę oprawić,
 To stamtąd wziąć butelkę, a szklanę postawić
 I żebym w migach skołał – ślepy na rzecz wszelką,
 Musisz kończyć swę czynność z szklanką i butelką.

Powiedzże mi, człowieku, powiedz mi raz przecie,
 Czemu, kochając pana, dokuczasz poecie?
 Co? Głośniej! – O mę sławę musisz być troskliwy?...
 Tak? No, to rób tak zawsze, Jędrzeju pocziwy. [F 11-1, 85–86]

Ale na starość Jędrzej Czerwiński z Jatwięg nadużył chyba łaski swego pana, który energicznie protestował przeciwko jego praktykom innego rodzaju:

Czerwiński krowy podobno osobno trzyma – to źle. Zasiewać zboża nie powinien, bo trudno nad nim mieć kontrolę, czy mymi robotnikami nie obrabia, po wtóre składa na gumnie, młóci, sprzedaje ze spichlerza – to wszystko niedobrze. Niech ogrodowiznę sobie sadi, ale nie zboże. [F 13-1, 327, *Notaty gospodarcze*]

„Wdzięczność nie jest przywarą imienia Fredrów” – skomentował złośliwie los „durnego Jędrusia” – szwagier Fredry, pamiętnikarz Ludwik Jabłonowski (J 107).

Takich pocziwych Jędrzejów, „czcicieli Bachusa”, gościnnie przyjmujących, spotykałem sporo podczas trzykrotnego pobytu w tych urokliwych – pamięcią Fredry – stronach. Spełnialiśmy wówczas łzawe toasty na cześć swoich przeszłości, chwając piekielną moc trunku fabrykowanego zapewne według receptury arendarza Wolki i przegryzając wiejskim chlebem, jakby z jatwięskiego młyna, który już nie istnieje. Pamiętam jeszcze, jak starzec z górki jatwięskiej, na której stał ongiś dworek Fredry, podał mi na pożegnanie swą sękatą, rzemienną dłoń, uśmiechając się bezzębnie i blade na wieczne nasze rozstanie.

W *Notatach różnych* Aleksandra Fredry dotyczących Jatwięg pojawiają się autobiograficzne refleksje o charakterze intymno-wspominkowym; zarówno dotyczące twórczości komediowej i jej recepcji w kręgu krytyki teatralnej, jak i te związane z biegiem życia pisarza, jego przeobrażeniami, dojrzewaniem, kształtowaniem się światopoglądu. Są to refleksje zredagowane w formie lirycznych „rzutów” (tak je nazwał S. Pigoń). Ale nie operują one – jak to często u Fredry – jego komediowym humoryzmem. Wartość ich jest nieoceniona, zbyt mało upowszechniona w badaniach nad wizerunkiem Fredry. Niechże ten jego „owczasowy świat” wspomnień, w urywkowych i niespójnych niekiedy fragmentach, odżyje tu w finale:

Szukałem potrzebnych mi papierów. Przewróciłem wszystkie teki, nareszcie i niebieska z zielonymi tasiemkami wpadła mi w ręce. Najpierwsza, najdawniejsza, którą sobie zrobiłem z <kompaturki> okładki starego *Rejestru*, w który początkowe wierszyki składałem. Otworzyłem ją i spłoszyłem pająka, który od kilku lat spokojnie używał pajęczyny, zapewne odziedziczonej po swoim pradziadzie. Na wierszchu leżał „Kurierek Warszawski” [...]. Był mi przystany przez Kisielińskiego po pierwszym przedstawieniu *Geldhaba*.

Widok tego świstka [...] cofnął mnie w chwilę, gdy go drżącą ręką z koperty dobywałem, gdy jednym tchem odczytałem <w nim> artykuł w nim zawarty o przedstawieniu *Geldhaba*. Tym samym uczuciem co wtenczas uderzyło serce moje. Mimowolnie teraz jak wtenczas kilka razy raz po raz czytałem to, co dla mnie niegdyś wyrocznią być się zdawało. Stał przedemną owczasowy świat, w którym sława autorstwa tak jaskrawie, a tak daleko, daleko leżała. [...]

Zamknąłem tękę z „Kurierkiem” i pajakiem. Myśl przebiegła cały mój zawód autorski. Kto by chciał zastanowić się nad dziwacznością mojego charakteru, nad <uksztaltowaniem> pierwotnym wychowaniem, położeniem <materialnym> w świecie i stosunkami mymi do świata, nareszcie nad pomocą, jaką zewnątrz odbierałem, musiałby przyznać, że com zdziałał, jest wiele.

Jakież było moje wychowanie? Domowe francuskie, bez planu, za wcześniej przerwane, słowem żadne. Kiedy w 16 roku życia wszedłem do wojska, umiałem trochę po francusku,

trochę po niemiecku, po łacinie tyle, iż wiedziałem, że *caput* — głowa, *pedes* — nogi, więcej nic, zupełnie nic. Od dwóch lat już polowałem tylko i czasem romans jaki przeczytałem.

Wróciłem z krwawych i z ciężką pracą odbytych wojen mędrzy może cokolwiek, ale nie umiętniejszy. W dwa lata później osiadłem na wsi. A u nas na wsi — kto prócz <śpiewów> słowika i ludzi słuchać musi — tak wszystko jest antypoetyczne!

Domek drewniany, przed nim rzeczka, za rzeczką łąki, las czarny wkoło. To Jatwigi. Tam zacząłem myśleć <lubo> <przed kilku laty> wróciłem był z wojska, kiedy w Fontainebleau zapadło wieko na trumnę naszej ojczyzny — straciłem je we Lwowie na zabawach i miłostkach. [...] W miarę jak kształciłem ciągłym czytaniem mój umysł, wydobywały się ze mnie, mimo wiedzy <doświadczeniem wrażone> w zawodzie [?] doświadczeniem nabyte kombinacje i świat jak jasełka poczał się przed moim okiem porządkować. Zastanawiając się nad ludźmi, zastanawiałem się i nad sobą i przestraszyłem się, dostrzegłszy nigdy nie spoczywającą chęć czytania w duszy każdej zbliżającej się do mnie osoby. Nigdy powierzchnowości i na kilka minut zadowolony nie byłem, nigdy nie czerpał[em] [?] z komunikowanego [?] mi doświadczeniem uczucia, które każdy człowiek wkoło siebie jak światło stjański robaczek puszcza. Dla mnie każdy stawał się jak zamknięta szafa, którą pierwszą moją myślą było przejrzeć wewnątrz. [F 13-1, 283–284]

To bardzo cenne w swej intymnej autentyczności refleksje, wynikające z doświadczeń 10-letniego omal życia w „ojczystym zakątku” „drewnianego domku” w Jatwiegach, gdzie Fredro „został wkrótce [prawdziwym] autorem” (F 13-1, 281).

2

Piszmy komedyje, grajmy trajedyje
na tym świecie. [F 14, 71]

Jaki był ów Lubień z wielkopańską rezydencją hr. Jabłonowskich w czasach, gdy stał się tajnym portem miłości pięknej młodziutkiej Zofii z Jabłonowskich hr. Skarbkowej oraz brylującego w salonach lwowskich swawolnego kapitana sztabu Napoleona hr. Aleksandra Fredry? Zwiedzałem tę rezydencję przejazdem, na trasie wiernego kochanka: Lwów — Rudki — Beńkowa Wisznia, gdym jeździł do krypty grobowej Fredrów znajdującej się w kościele rudeckim.

Pierwszy raz wiosną: pałac otaczała wówczas sekretnie bujna zieleni parkowa, duszna zapachem bzów, głośna miłosnym kląskaniem słowików. Zdawało mi się, że przez kurtynę liści prześwituje biaława postać, lecz gdym odgarnął gałęzie, złudzenie skamieniało w małym pomniczku z jasnego cementu. Był to młodziutki Leninek pochylony pilnie nad książką — jako strażnik i patron miejscowego opodal domu wychowawczego dla dzieci. Czy siedzi tam jeszcze dotąd i czyta swoją historię? Jakże „tęsknię” do tego absurdałnego zjawiska!

Późną jesienią, przy powtórnych odwiedzinach, gdy wszystkie dekoracje parkowe zostały zdarte przez wichry i pogaszone przez ołowiane ulewy, ukazała mi się naga, krzepka jeszcze ruina pałacu, w której nie było już echa wspomnień o kochankach walczących tak długo o swe prawa do szczęścia małżeńskiego. Chłód i wilgoć wiejące z rozbitych drzwi, z popłakanych ścian, oślepych okien wyгнаły mnie w przerwana podróż tragicznego przemijania. Wszakże można je zatrzymać, a nawet cofnąć, co jest największą władzą zapisanego słowa. Dokumentację taką odnajdujemy przecież u samych akto-

rów tej wytrwałej, „do grobowej deski” miłości oraz w licznych świadectwach najbliższych klanów rodzinnych, tj. Jabłonowskich i Fredrów, wielokrotnie z sobą spokrewnionych. Ale historyk musi dać w pierw wprowadzenie biograficzne, nie uniknąwszy powtórzeń cytacyjnych.

Zofię z Jabłonowskich 1° voto Skarbkową (ur. 10 V 1798) wydano za mąż za „biznesmena” owoczesnego, wielkiego mecenasa teatru lwowskiego, Stanisława Skarbka (ur. 1780), szpetnego (o „mocno wykształconym nosie”), poufałego z kobietami (szczególnie z aktorkami!). Zofia miała wówczas 16 lat, gdy jej mąż był o 18 lat starszy. Małżeństwo ze Skarbkiem, zawarte kontraktem iście handlowym, u podstaw było nieszczęśliwe. Stary mąż, pomawiany przez współczesnych o bezpłodność, obsypywał młodziutką żonę bajecznymi prezentami.

Aleksandra Fredrę poznała Zofia i pokochała w trzy lata po ślubie ze Skarbkiem. Aleksander był od niej starszy o 5 lat. Na rozwód ze Skarbkiem czekali 11 lat, a więc gdy go wreszcie uzyskali, on miał 35 lat, ona zaś 30, nie byli zatem już młodzi w pojęciu owoczesnym!

Z długich, męczących lat czekania na połączenie się pochodziła obfita korespondencja obojga kochanków, przechowywana do późnej ich starości jeszcze w dworku lwowskim na Chorążczyźnie. Nie była ona przeznaczona dla cudzych oczu, nawet najbliższej rodziny. Uległa – niestety – spaleni, o czym (powtórzmy) informuje ich wnuczka, Maria Szembekowa, w swej książce wspomnieniowej *Niegdyś...*:

Brat mój [Jan Aleksander Fredro] [...] szepnął mi do ucha, że dziadostwo przez cały wieczór palili swoją przed- i poślubną korespondencję...

...Słuszność mieli starszankowie drodzy, zdobywając się na ten czyn bolesny; na takich listach, pisanych wprost z serca do serca, żadne oko obce, choćby rodzonych, kochających dzieci, spocząć nie powinno... A przed spaleniem, po raz ostatni odczytując je, płakali nad nimi oboje...

Z tych więc dalekich czasów ich długoletniej miłości nie pozostał list żaden. [S 79]

Jakże szkoda tych listów dwojga nieszczęśliwych a wiernych sobie kochanków, listów wysyłanych tajemnie, w obawie przed argusowym okiem czujnej matki, hr. Marianny Jabłonowskiej, chytrej „na grosz” Skarbkowy, a według słów jej córki: „do despotyzmu surowej”.

Spalone w starości listy musiały być piękne i gorące we wzajemnych wyznaniach miłosnych, sądząc z talentu pisarskiego zarówno Fredry, jak i jego przyszłej żony. Potwierdzają to jednostronnie i – niestety – pośrednio listy Aleksandra zwierzającego się swym serdecznym przyjaciołom z wojen napoleońskich i braciom na temat wielkich i tragicznych – w stylu romantycznym przeżywanych – uczuć, prawdziwej miłości, nie mającej omal żadnego podobieństwa do poetyckich wyznań jego komediowych kochanków.

Pośrednią jakby rekompensatę za tę zniszczoną bezpowrotnie korespondencję obojga kochanków stanowią drobne osobiste utwory poetyckie Fredry, nieraz jakby w stylu wierszy sztambuchowych czy listów lirycznych, ukrywających subtelnie – jak w cytowanym niżej madrygale, napisanym jesienią 1820 – i nadawcę, i odbiorcę owych konfesji miłosnych; posłania, które nie jest wszakże wyrażane ani w laurowo-sentymentalnym stylu, ani w konwencji frywolno-romansowej (tak częstej u młodego Fredry), lecz z potrzeb magnetyzmu rozumiejących się serc:

Szczęśliwy, kto w twych oczu przegląda się niebie,
 Szczęśliwy dwakroć, kto wzdycha do ciebie,
 Lecz najszczęśliwszym tego ja ocenę,
 Co swoim twoje obudził westchnienie. [F 12-2, 189]

Ale w miarę upływu doświadczeń tej miłości z przeszkodami rodzi się domatorskie (z nieco żartobliwą puentą) pragnienie szczęścia małżeńskiego, wyrażone pośrednio w cytowanym już fragmencie wiersza *Do Dominika N[etreb-skiego]* włączonym do kwestii Gustawa w *Ślubach panińskich*:

Ach, być kochanym — wszyscy szczęściem głoszą.
 Mym zdaniem, kochać jest większą rozkoszą;
 Los kilku istot zrobić swoim losem,
 Czuć i żyć tylko drugich dusz odgłosem,
 Dla dobra innych cenić własne życie,
 Dla nich poświęcać każde serca bicie,
 Światem uczynić najmniejszą zagrodę,
 Tam mieć cel pracy i życia nagrodę
 I kończąc cicho wytknięte koleje,
 Za grób swój jeszcze przeciągać nadzieje:
 Oto jest szczęście, kto go umie cenić.
 Dalibóg, wierz mi, trzeba nam się żenić.

To są wszakże pragnienia znacznie późniejsze; musimy się tu cofnąć w czasie co najmniej o pięć lat, by poznać niewiarygodną ewolucję rozpustnego „Fredrusia”.

Amor ugodził Fredrę, opromienionego mundurową sławą odznaczeń kapitana... „z czerwoną wstążeczką”, śmiertelną strzałą prawdziwego uczucia miłości, właśnie w tym czasie, gdy szalał on we Lwowie do ostatecznego rozpasania. W jednym z listów (z 17 III 1815) spowiada się ze swych szaleństw koledze pułkowemu, koneserowi jego obscenów, Józefowi Grabowskiemu:

U nas tu w Lwowie bardzo dużo tego roku było młodzieży, z których najwięcej było wojskowych; byłem jak w dobrym garnizonie. Dzień w dzień w karnawał tańczono i ja także musiałem zapiąwszy się w atlasowe portki skakać jak opętany. Za tę nieprzyjemność nagradzałem sobie przy wieczery, gdzie dobroczynna kometa [tj. trunek], snując się po gardziółku, z wolna rozgrzewała i wzmacniała krew, biwakami wystygła. O! truneczku, tobie ludzie ołtarze stawić powinni, na twym łonie zapomina się o troskach życia naszego!

Niech ta eksklamacja, kochany Józefie, przemówi do Twego serca i przeczytawszy lynkij węgryzna z pół garca. Jednej wygody mi tu brakowało, dupeczki jakiej okrągłutkiej. Wystaw też sobie, co za wszeteczna moda tu do nas przyszła, moda bigoterii; i dobrego tonu damy nie gaszą żądze cielesne, jak popów poświęcaną szpricką, a my biedni grzesznicy albo za pięć ryńskich ryzykujemy francy dostać, albo też pod murem nabój wypstrykać musimy. Znam Twoją przyjaźń i pewny jestem, że się litujesz nad nami, że w takim okropnym jesteśmy położeniu. [F 14, 39]

Postronny obserwator, Zygmunt Kaczkowski, pamiętnikarz ówczesnego życia lwowskiego wspomina nie bez stylizacji na zgorszzonego świętoszka:

Wtenczas tu [tj. we Lwowie] Fredry chodzili na głowach i nie można było się nigdzie obrócić, aby się nie natknąć na Fredrę. Trzeba się było chować przed nimi, bo i z ołtarza byliby zdjęli, a do tego jeszcze i takie wiersze pisali, że nawet starszym uszy od nich trzeszczały⁴.

⁴ Z. Kaczkowski, *Mój pamiętnik z lat 1833–1843*. Lwów 1899, s. 53.



Jatwigi
Akwarela J. Swobody

Reprod. z: M. z Fredrów Szembekowa, *Niegdyś...* Lwów 1927, s. 115



Przed cerkiewką w Jatwiegach

Fot. W. Holyński, 18 VIII 1990



Aleksander Fredro
Rys. A. Laub z litografii P. Pillera

Reprod. z: „Haliczanin” t. 1 (Lwów 1830)



Zofia z Jabłonowskich 1° voto Skarbkowa, 2° voto Fredrowa
Podług portretu nieznanego artysty

Reprod. z: K. Chłędowski, *Z przeszłości naszej i obcej*. I wów 1935



Pałac Jabłonowskich w Lubieniu
od strony południowo-zachodniej

Fot. W. Holyński, 1990



Pałac Jabłonowskich w Lubieniu
od strony zachodniej

Fot. W. Holyński, 1990



Pałac Jabłonowskich w Lubieniu
od strony południowej

Fot. W. Holyński, 1990



Pałac Jabłonowskich w Lubieniu
od strony północnej

Fot. W. Tolęski, 1990

Jeszcze przez dwa kwartały trwały te szaleństwa po salonach lwowskich z tańcami do 9 rano. Poświadcza to np. list Fredry do Ignacego Konarskiego z r. 1817, zwieńczony karnawałowym wierszykiem:

Tego wieczora odpoczynek nie był nam znany. Walce, anglety [tj. rodzaj kontredansa], mazury szybko po sobie następowały – nareszcie dano wieczere. Wszystkie damy siedziały, przed każdą wazon kwiatów, co piękny rzut oka sprawiało. Chciałbym być na tych wazonikach położyć napis:

Patrzaj, luba płci niewieści,
Każdy kwiat przestrozę mięści:
Jak wasza piękność dzisiaj kwitnie ładnie,
Jutro zaś zwiędłym zostanie,
Czas więc chwytając, takie moja zdanie,
Rwać go potrzeba, póki nie opadnie.

W pobocznych pokojach były stoły dla mężczyzn, tam doskonale czas przepędzano.

Kielich szampana od ręki do ręki,
Niosąc gospodarstwu dzięki,
Niósł razem dowcip do głowy,
W nogi moc i ogień nowy.

Dlatego po kolacji walc ochoczy trwał ze dwie godzin. Koniec końców tańcowailiśmy do 9-tej rano. [F 14, 42]

Ale oszczędny i gospodarny ojciec Aleksandra przykrócił tę rozrzutność finansowo-biologiczną syna. Kazał mu zamieszkać i gospodarzyć w sąsiadujących z Beńkową Wisznią Jatwiegach, folwarku mało dochodowym, który nie pozwalał synowi na kosztowne eskapady do Lwowa. A gdy chciał on tam bywać, szczególnie w karnawale, musiał swój budżet zasilać pieniędzmi... za skórki ubitych przez siebie lisów. W Jatwiegach zatem, na tej chudej dzierzawie, po prostu biedował, „mając na śniadanie kieliszek kopciuchy, na obiad drugi, a na kolację trzeci – <pospołu> z przyjacielem i służą Jędrzejem” (J 107). Polując wówczas zbliżył się do znakomitego myśliwego Kazimierza Jabłonowskiego – brata Zofii Skarbkowej, któremu poświęcił jeden z listów poetyckich. Miał w nim sprzymierzeńca i rzecznika swej sercowej sprawy.

Właśnie w owym karnawale 1817 r. zapłonął prawdziwą miłością do Zofii z Jabłonowskich Skarbkowej. Zwierza się z tego wzrastającego uczucia w liście do Ignacego Konarskiego:

Słyszał[eś] i czerpał[eś] ten ogień, który przy wszystkich dręczeniach za szczęście jednak uważam. Kochałeś, wiesz, jak nas ta namiętność odmienia, jednak pewnie nigdy tak jak ja gwałtownie jej nie doznałeś; serce bowiem Twoje łatwiejsze do przyjęcia każdego wrażenia, moje zaś trudniejsze, dlatego nie zna środka. Książki, wiersz, wszystko zaniedbuję, miłość całego mnie zajęła. [F 14, 44]

Ten list, pisany ze Lwowa 11 IV 1817, zapewne pod nowym wrażeniem przebywającej tam Zofii, posiada szczególną wartość dokumentacyjną, co rekompensuje nam w pewnym stopniu brak korespondencji obojga kochanków, odślaniając istotę uczuć Aleksandra.

Najmłodszemu bratu Zofii, Ludwikowi Jabłonowskiemu, zawdzięczamy historię tej miłości, opowiedzianą nie bez sarkazmu, którą warto tu przytoczyć:

Podczas jednych [zapust] Aleksander poznał siostrę moją. [...] Aleksander przez rozkoszne salony trafił do rozkoszniejszego buduaru; w jednym ze swych poematów [pt. *Sztuka j.....*], uwiecznił to wspomnienie dwuwierszem [tu strawestowanym]:

Raz spróbowałem te romanse modne,
Niech diabli porwą, bardzo niewygodne.

To była wdzięczka — może być wymówka. Pomimo tego przekonania, rozzuchwalony założył się, że do sześciu miesięcy Skarbkowi czoło uwieńczy [tj. przyprawi mu rogi]. Łatwość była wielka. Skarbek bez porównania wyżej ceniąc żonę, bez granic wolność jej zostawiał, jednakże zakład został przegrany, ale jej urok, a może też i posag na inne naprowadziły myśli. Znaleźli się nieustraszeni sprzymierzeńcy. Bratowa moja Kazimierzowa, czystej wody zakrystianka, i Dominik Netrebski [...]. Zaczęły latać książki z podkreślonymi przypadkowo, stosownymi, przez pośredników genialnie objaśnionymi ustępami, półsłówkami, półśmieciami. Lat parę trwały usługi tych gorliwych swatów (łaska Boża, że mi się inne nie wyrwało słowo), przez ciąg ich pojawiał się co parę miesięcy Aleksander, bo matka chociaż się niczego nie domyślała, na te odwiedziny krzywym patrzyła okiem, rodu całego nie lubiąc jeszcze więcej od czasu, jak jedna z jego córek [Cecylia, siostra Aleksandra], idąc za Leona [Jabłonowskiego], wślizgnęła się w nasze gniazdo [w 1825 roku].

Mijał rok za rokiem, a skutku tylu usiłowań dopatrzeć [się] było trudno, jednakże złe duchy siostry domyśliwać się zaczęły, że ziarno kiełkuje. Umysł jej błąkać się zaczynał, jeździła często do Lwowa, gdzie w pokutnym gabinecie u nóg księdza Samuela płakała. [...] Humor jej swobodny, wesoły, często pusty — ciemniał (już na całe życie), w końcu całkiem do siebie niepodobną się stała. To widząc, uznano ofiarę za dostatecznie przygotowaną i postanowiono przyspieszyć stanowczą chwilę. Zwykle, gdy Skarbek wyjeżdżał do Wiednia, żonę odwoził do matki i wtedy była w Lubieniu. Za dni parę Skarbek miał wrócić; wiadano, że już w drodze — czas był drogi — podpalono minę. Piotrusia, młodziechna, ale bardzo sprytna i doświadczona pokojówka, wróciwszy od spowiedzi, z rozpuszczonymi włosami, zalana łzami, szlochając konwulsyjnie, padła <do> nóg zdziwionej pani, zeznając, że grzeszyła z panem. Chociaż z jej strony tak wielkim nie było to ciężarem na sumieniu, bo blondyneczka lubiała brać na próbę potęgę swoich wdzięków, komedię [sic] odegrała po mistrzowsku. Przy wielkim współudziale powierników odbyły się pierwsze rozpacze. Na próżno matka radziła odpędzić grzesznicę i udać przed mężem [sic] zupełną nieświadomość tak wielkiej zbrodni, wysłano sztafetę po Izzydora Pietruskiego. Przyjaciel Skarbka, a znawca serca kobiecego, po krótkiej rozmowie uznał wszystko za skończone i tegoż dnia jeszcze wyjechał z żalosną wiadomością na spotkanie Skarbka. Z bólem serca, ale widząc także, że z jej charakterem kobieta po tak otwartym wybuchu zdania nie zmieni, zezwolił na wszystko. W parę dni odesłał, co tylko było lub mogło być jej własnością, i z największą szlachetnością całą siłą do rozvodu pomagać zaczął. [J 110—111]

Jakaż to wspaniała kazuistyczno-komediowa argumentacja w tej historii wspomnieniowej Jabłonowskiego! Nie warto jej komentować, tak jest wyrazista w odbiorze. Cofnijmy wszakże ów bieg wydarzeń oraz rozluźnijmy ich kompresję przestrzenno-czasową, uzyskując w tym względzie absolicję samego Fredry, autora sternowskich *Trzy po trzy*. A więc Lubień. Tu wróciła na stałe po separacji małżeńskiej młodzianka Zofia, czekając wiernie na unieważnienie małżeństwa.

Zofia „w lwowskim świecie pięknością i cnotą górowała” nad innymi kobietami (J 59). Polor wielkiego świata zdobyła w domu ciotki swojej, kasztelanowej Marianny Lanckorońskiej. „Cytowała dawne anegdotki tyczące się różnych osobistości z epoki Księstwa Warszawskiego, deklamowała nawet okolicznościowe wierszyki satyryczne, kursujące wówczas po stolicy [...]” (S 74); pięknie grała na fortepianie, a przede wszystkim — jak podkreślają zgodnie współcześni — była doskonałą aktorką w „*théâtre de société*”; „Wzrostu wysokiego, ciała białego, oczów dużych, niebieskich, włosów blond, pięknej postaci [...]”⁵.

⁵ F. K. Prek, *Czasy i ludzie*. Przygotował do druku, przedmową, wstępem i przypisami opatrzył H. Barycz. Wrocław 1959, s. 463.

Portret Aleksandra zawdzięczamy również pamiętnikowi Franciszka Ksawerego Preka:

Jest wzrostu miernego, twarzy ściągłej, nosa miernego, trocha wygiętych w nim dziurek, oczów czarnych, ognistych, ust równych, włosów rudych, nieco szczupły, posiada umiejętności, języki francuski i niemiecki doskonale, rozumie wiele, jest dowcipny, trochę uszczypliwy, polityk wielki, filut, wyśmiewa drugich, jednakże jest szlachetny, nigdy zaś pochlebny [...] ⁶.

Pamiętajmy, iż portretuje go artysta – malarz-amator, literat. Natomiast nieprzychylny Aleksandrowi jego szwagier, Ludwik Jabłonowski, sportretował go kąśliwie:

Podrostkiem (będąc) widywałem go często u brata i w kniei, na siwym podjezdku, w zielonej kurcie, miał wtedy jeszcze coś wojskowego i bogaty zbiór przypowieści, facecji i wspomnień pułkowych. Zawsze zgrabnie i dowcipnie podane, często tylko parą słów rzucone, czyniły go w męskim towarzystwie przyjemnym i pożądanym. Przy kieliszku umiał spojrzaniem, półśmiechem, kiwnięciem ręki obrócić w śmieszność cudze znalezienie się lub powiedzenie. [...]

Wzrostu średniego, ale kształtnie zbudowany, rysami do Dębińskich zbliżony, był lekko ospowaty i płci żółciowej na twarzy, zdradzającej skłonność do hipochondrii, oko miał siwe, w białku także żółte, wzrok nieujmujący, wąs rudawy, krótko podstrzyżony, uśmiech niedobry, ułożenie dosyć gładkie, ale każdym ruchem zdradzał, że się ma ciągle na uwadze, że – jak Francuz mówi – pozuje. Dowcip jego był często gryzący, zwykle drugiemu przykry, więcej sposobem powiedzenia niż treścią rozśmieszający, spojrzaniem, uśmiechem i ruchem ręki mocno akcentowany, a nigdy tak lekki i niewinny, jak w wszystkich jego komediach. [J 108 – 109]

Jakże często odwiedzał Fredro piękny Lubień, nie tylko w czasie swych wyjazdów do Lwowa, co potwierdzają jego późniejsze *Zapiski w książkach gospodarskich*, sformułowane bardzo lakonicznie, np.: „Wyjeżdżam do Lubienia”, „Wróciłem z Lubienia”, „Wczoraj przyjechała Z. [tj. Zofia Skarbkowa] do Lubienia”. Te zapiski mnożą się, oczywiście, gdy sprawa rozwodowa miała się ku końcowi, o czym „dla pamięci” notuje skrupulatny „gospodarz”, np. 22 VI 1828: „Jeździłem do Lubienia, 23 wróciłem do Lwowa”; „3 sierpnia. Pojechałem do Lwowa. Interes S. [tj. Skarbka, w sprawie rozwodu] poszedł 23 p. m. do Wiednia” (F 13-1, 291 n.). Fakt odbycia się ślubu został odnotowany również niezwykle zwięźle: „6 novembra [1828] wyjechałem do Korczyny, 9 ślub wziąłem”.

Dwie notatki z tych *Zapisków* Fredry, skreślone w dwa lata później, mają dla naszej historii szczególne znaczenie: 2 II 1830 „umarła w naszym domu [tj. w Beńkowej Wiszni] matka mojej żony”. Marianna Jabłonowska musiała zatem pogodzić się ze swym nielubianym zięciem, i to nie tylko formalnie, o czym świadczy druga zapiska, z dnia następnego: „Wróciłem ze Lwowa i Lubienia, gdzie jeździłem dla ułożenia planu zarządzenia spadkiem po matce żony” (F 13-1, 291 n.). Piwnice dworu beńkowowiszniańskiego wzbogaciły się także lubieńskimi winami.

Wracajmy wszakże do Lubienia i wcześniejszego okresu. Jakże łatwo było kochankom znaleźć odosobnienie w rozległym pałacu czy przylegającym parku, gdy opodał w lubieńskich łazienkach z kąpielami siarczanymi (dotąd jeszcze czynnymi) wrzało od kuracjuszy; pośród nich byli i bracia Aleksandra: Henryk i Seweryn, który chciał tu odzyskać – jak pisze w liście do Aleksandra

⁶ *Ibidem*.

(7 VI 1814) – swoją „force [siłę] dolną pasa, którego przez tyle kampanii [napoleońskich] i [...] jest nieco osłabiony” (F 14, 245). A w następnym liście z 29 VII 1814: „Jedziemy dziś albo jutro do Lubienia, w nim dawniej dobrze się bawili i hulali, o 5-tej z rana chodzili spać, a o 12-tej wstawali” (F 14, 249). Z datacji tego listu wynika, że Aleksander „hulał” w Lubieniu jeszcze przed wstąpieniem do wojska (?) mając 16 lat!

Znacznie później, bo w r. 1832, Aleksander, będąc już mężem Zofii Skarbkowej, wyjeżdżał kilkakrotnie do Lubienia „na kąpiele”, lecząc swą podagrę. I wówczas także nie stronił od hazardowych gier uprawianych w uzdrowisku i pałacu, notując sumiennie w *Zapiskach* przegrane tam sumy florenów.

Lubień, ów „książę [galicyjskich] wód siarczanych”, był wtedy, tj. w czasach „konkurów” Fredry, pełen kuracjuszy prawdziwych i urojonych, tańczących i tracących krocie w hazardowych grach, pełny kojarzących się par. Po jednym kanikularnym sezonie 8 par „gości kąpielowych” – jak notuje Jabłonowski – „klekło przed ołtarzem”. Matka Zofii niechętnie patrzyła na te coraz częstsze odwiedziny, zajęta przecież głównie robieniem pieniędzy.

Lubień płynął [wówczas] złotem. Nędzne budynki i łazienki przy źródle zrzuciły 4000 dukatów, browar wyrabiał 3000 beczek piwa [...]. Każdej niedzieli pisarze, browarni i gorzelniani (w lecie łazienkowi z nimi) wchodzili do kasy z pakami banknotów, prowadząc parobków dźwigających wory srebra i miedzi. [J 85]

Kwitła tam gruba gra, od której „Fredrusie” nie stronili. „Przy diabełku stopy złota i srebra przewalały się po zielonych stolikach”.

W sezonie liczba kuracjuszy przekraczała 500 osób, nie licząc towarzyszącego im „dworu”. „Za kąpiel płacono krajcarów dwanaście”. W zakładzie kąpielowym odbywały się bale, koncerty orkiestr sprowadzanych ze Lwowa oraz przedstawienia teatralne dla kuracjuszy. „Obok łazienek powstawały tak zwane pańskie domy, zawierające apartamenty dla przyjezdnych gości”⁷. Ale ten złoty okres prosperity Jabłonowskich i świetności Lubienia szybko minął. Już w 1849 r. właścicielem Lubienia stał się Konstanty Brunicki (przechrzczony Żyd Brunschtein), później syn jego Adolf, ostatni do 1939 r. właściciel Lubienia, zmarły na Syberii w 1941 roku.

W czasach zalotów Fredry do Zofii zamożność jej matki Marianny Jabłonowskiej, wdowy po Józefie, była niewiarygodna, a jej pałac iście wielkopański. Musiało to imponować wrażliwemu na piękno wnętrzu chudeuszowi z Jatwięg, mieszkającemu na górze w drewnianym dworku pośród łąk, przy szumie omal górskiej Wiszenki, w bliskim sąsiedztwie czworaków z ukraińskim chłopstwem i cerkiewki osłoniętej od wichrów wysokimi drzewami. Ale nawet wówczas, gdy gospodarzył już w Beńkowej Wiszni, dokąd po rozwodzie sprowadził swoją żonę, stary dwór tamtejszy (dotąd istniejący), murowany, w swej skromności surowej bryły architektonicznej, nie mógł konkurować z dekoracyjnie urokliwym pałacem w Lubieniu, stworzonym jakby do miłości i hucznych zabaw.

Tak było za panowania matki Jabłonowskiej w latach 1820–1830.

⁷ S. Schnür-Pełtowski, *Obrazy z przeszłości Galicji i Krakowa (1772–1858)*. T. 2. Lwów 1896, s. 259–260.

W skarbcu lubieńskim leżały wówczas wory srebra, pośród „kotłów i buńczuków kozackich z Korsunia”.

Mamy również nieco późniejszą, bo popowstaniową, relację Jabłonowskiego o życiu towarzyskim w Lubieniu, gdy wiosną 1832 tu gospodarzył:

Kąpiele były przepelnione i szalone to naszymi, to wychodźcami [tj. uczestnikami powstania listopadowego], grano w karty od świtu do nocy, od nocy do świtu hulano, tańczono i kochano się. O kąpeli mało kto myślał, na sen zawsze brakowało czasu, na obiad także, żywiono się między dwoma mazurami, drzymano czekając na talię, bo już diabeł był całkiem porwał faraona, czasem przez sen ciągniono (prawdziwa prawda). Od trzech przejść dawano dukata na składkę, więc co dnia najmniej kilkadziesiąt było do rozdania potrzebnym. Trzeba było ludzi, którzy tak ciężką przebyli kampanię przed kilku miesiącami, by wydołać takiej pracy, lecz każdy wołał szaleć, niż myśleć, a chwilę jedną być z samym sobą było wielką przykrością. Padano na łoża, gdy już nogi nosić nie chciały. Po pierwszym przespaniu zrywano się i, nie pytając o godzinę, leciano między ludzi, co było łatwym, bo całe noce było gwarno, jeżeli nie na balowej sali, to przy stołach „diabła”. Mieszkałem o ćwierć mili od zakładu; czasem o 7 z rana przybywały odwiedziny, nakrywano do obiadu na dziesięć, siadało dwadzieścia osób. Czasem, gdy już o zmierzchu przycichło, a zasłane łóżka aż wabiły w białe objęcia, wpadał niby to kulg: zapalaj świece, smarż, gotuj, piecz, co się nawinie, kręć lody, rób herbatę, bo hulanka do świtu. Deszcz pada, wracać trudno, nogi już odmówiły, rozrzucaj poduszki po wszystkich pokojach, ściel paniom po sofach, krzesłach, kanapach, a znękanie ciała, przedrażnione dusze zamrzą na chwil kilka. Żona moja zalewała się łzami, chcąc zrobić ład w tym strasznym nieładzie, bo mierzwiły [sic] ją te bachanalia. [J 200–201]

Dom o 26 pokojach był koszarami, a niełatwo bywało znaleźć spokojnego kącika dla domowych. [J 202]

Ale Fredro już wówczas mieszkał ze swą żoną z dala od tej „Sodomy” – w Beńkowej Wiszni.

Ludwik Jabłonowski w swych pamiętnikach nie pozostawił nam szczegółowego opisu pałacu lubieńskiego. Ten dotkliwy brak wypełniamy na podstawie autopsji, przy walnym wsparciu przysłanych mi łaskawie przez prof. Włodzimierza Hołyńskiego z Rudek, jakże pięknych fotografii pałacu lubieńskiego, według stanu z 1990 roku. Dodajemy również fachowe informacje o Lubieniu Wielkim zawarte w nieocenionych *Materiałach do dziejów rezydencji* Romana Aftanazego⁸. Aftanazy w owych wnętrzach nie dostrzeża – oczywiście – minionego życia dwojga kochanków.

Pałac lubieński stanowi bryłę architektoniczną niezwykle harmonijną w symetrii, regularności kompozycyjnej i wystroju wszystkich jego boków, z których każdy jakby posiada frontalną funkcję prezentacyjną. Pałac jest w zasadzie parterowy, o bardzo wysokich, zagospodarowanych suterenach; trójosiowa część środkowa ma dwie kondygnacje. Przebudowany i upiękuszony nieco przez Brunickich, nie stracił wszakże swego wyglądu podstawowego z czasów Fredrowskiego tokowania, choć jego owoczesny zajazd od strony północnej skasowano, przenosząc go na stronę południową bloku dłuższego i dobudowując zharmonizowany z całością przedsionek, który wprowadził mnie przez wiatrem odemknięte drzwi do zrujnowanego śmiertelnie wnętrza pałacowego. Łamane dachy, niezwykle zdobiące bryłę budowli, to również późniejsza przeróbka dachu pierwotnie wysokiego i gładkiego, podobnie jak i niektóre urokliwe dekoracje elewacyjne oraz wieńce bramujące nadokienniki.

⁸ R. Aftanazy, *Materiały do dziejów rezydencji*. T. 7 A. Warszawa 1990, s. 355 n.

Ogromnego wdzięku rodzimości nadają pałacowi (powstałemu ponoć z bryły zamkowej) pseudoalkierze staropolskie, wtopione wprawdzie w strukturę budowli, lecz „ryzalitowo” wyraziście wysunięte. W tych alkierzach mieściły się m.in. sypialnie. Natomiast trzy pokoje gościnne znajdowały się na piętrze, z rozległym widokiem na park i łazienki lubieńskie. Tu nieraz nocował Aleksander Fredro, gdy zbyt późna pora lub warunki atmosferyczne nie pozwalały mu wrócić do kamienistych Jatwieg czy do Beńkowej Wiszni.

Aftanazy informuje, iż:

po dokonanych przez Brunickich zmianach pałac zachował nadal swój podstawowy układ wewnętrzny, pośrodku dwu-, a na krańcach trzytraktowy, z bocznymi klatkami schodowymi. Z nowego przedziona wchodziło się do obszernego, kwadratowego hallu, ze ścianami wyłożonymi dołem boazerią, a stamtąd na prawo do wielkiego podłużnego o trzech oknach salonu, na lewo zaś do pomieszczenia identycznego, używanego do gry w bilard. Pokój narożny południowo-wschodni służył jako sypialny, podobnie jak narożny południowo-zachodni. Drzwi umieszczone naprzeciw głównych wejściowych prowadziły do wielkiej, osmiobocznej, dwukondygnacyjnej sali balowej, wysuniętej ogrodowym ryzalitem. Z prawej strony przylegała do niej sala biblioteczna, a z lewej jadalna, obie o trzech oknach, identyczne jak frontowy salon i sala bilardowa. Wszystkie te pomieszczenia z amfiladowym układem drzwi tworzyły więc dwa ciągi reprezentacyjne. Pokoje narożne północno-wschodni i północno-zachodni, podobnie jak odpowiedniki frontowe, służyły jako sypialnie. Przy stronie zachodniej znajdował się pokój z wyjściem na balkon, używany jako ubieralnia, jak też schody do usytuowanej w suterrenach dawnej sieni wejściowej, kredensu i pokoi służbowych. Po stronie wschodniej, pomiędzy pokojami alkierzowymi, mieścił się jeszcze jeden pokój sypialny, korytarzyk i schody wiodące na pierwsze piętro oraz strychy. [...] Tylko w salonie przetrwał kominek z marmuru różowego, w bibliotece z czarnego, a we wszystkich pokojach recepcyjnych dekoracje stiukowe na sufitach⁹.

Wnętrza były zapewne bogato i stylowo umeblowane, lecz o ich wyposażeniu z ery Jabłonowskich nie posiadamy informacji. Wolno przecież twierdzić, że szczególnie świetnie – ze względu na przyjmowanych znaczniejszych znajomych i kuracjuszy – urządzone były: sala balowa z galerijką dla orkiestry, nad drzwiami z hallu, jadalnia i „serce”, tj. sala bilardowo-„karciana”, w której uprawiano nieraz hazardowe maratony, przesypiając się w przerwach na sofach.

Grano tu zatem „do puli w miasza lub wołoszyna, lub w straszego ćwika”. Od karcieł nie stronił także młody Fredro (nie mówiąc o jego braciach), hazardując się nawet w „rouge et noire”. Choć wówczas wolał wybrać ustronniejszy pokój i „niewinniejszą” grę, bez obecności argusowego oka matki Jabłonowskiej, bez męczących pozorów konwencjonalnej rozmowy lub gry w karty z „zawodowcami”. Wolał karciany flirt z Zofią. Po jednej przegranej z nią w karty (może w „pantofla”, „nieocenionego dla zakochanych” – jak zauważa Fredro w *Trzy po trzy*) czy po jakimś zakładzie Zofia Skarbkowa kazała „cwancygiera” przekuć na miedziany pierścionek („i w ten sposób dług swój spłaciła”), a w jego wnętrzu wyryć najgorętsze zakłęcie tragicznej i wiernej poza grób miłości: „Nie tu – to tam”. Była to ponoć jedyna uratowana pamiątka – świadectwo sięgające okresu, „w którym toczyła się długa sprawa rozwodowa” (S 80).

Aleksander zapewniał Zofię słowami Gustawa ze *Ślubów panięskich* (akt IV, w. 122 – 127):

⁹ *Ibidem*, s. 357 – 358.

Wierz mi – są dusze dla siebie stworzone.
 Niech je w przeciwną los potrafi stronę,
 One wbrew losom, w tym lub tamtym świecie,
 Znajdą, przyciągną i złączą się przecie;
 Tak jak dwóch kwiatów obce sobie wonie
 Łączą się w górze, jedna w drugiej tonie.

I doświadczał w pełni tragicznych następstw magnetyzmu serc.

W sali balowej młodzianka Zofia nie tylko brylowała czarem swej piękności, ale i najlepiej chyba tańczyła mazura czy drabanta, bo w stałym partnerstwie z najlepszym, żywiołowym danserem napoleońskim.

Taż sala służyła również do występów teatralnych i wokalnych. Zważywszy duże upodobania i zdolności aktorskie Zofii Skarbkowej, jej sukcesy w teatrach salonowych Lwowa, sukcesy, którymi wzbudziła ponoć pierwiastkowe zainteresowania Fredry, lubieńskie występy Zofii były dla komediopisarza czynnikiem jakby pogłębiającym jego miłość w podwójnym wymiarze: osobistym i twórczym.

Dla zakochanych parafianśczyzna rozbawionego salonu nie stanowiła najlepszego *entourage'u*, wobec którego trzeba było grać komedię ludzi sobie obcych uczuciowo. Woleli samotność parku lubieńskiego, który najdoskonalej towarzyszył ich wyznaniom miłosnym. Ogromny, kilkuhektarowy park, gdzie łatwo było się zgubić, łączył się z pałacem. Miał „charakter ogrodów francuskich”. Według opisu Aftanazego:

sprawy to starannie pielęgnowane gazony, strzyżone w różne geometryczne figury krzewy bukszpanu i inne oraz strzeliste tuje. Nie brak było również akcentów architektonicznych w postaci niskich, kanelowanych kolumn z wazonami na kwiaty. Tę część ogrodu otaczał park krajobrazowy, sięgający częściowo XVII wieku. Wśród skupisk starych drzew, obok tradycyjnych lip rosły także akacje, platany, topole włoskie i nadwiślańskie oraz modrzewie. Drzewa najstarsze tworzyły szpaler lipowy. [...] W obrębie ogrodu stała też murowana kaplica¹⁰.

W kaplicy tej pobożna Zofia niejedną – zapewne – zanosila łzawą prośbę w intencji szczęśliwego i rychłego zakończenia sprawy rozwodowej, ciągnącej się tak długo i nie bez groźnych doświadczeń związanych z wiernością uczuć.

Aleksandra zaczęły nękać samobójcze myśli; „wszystko czarna spleenu przyćmiła pomroka”. W tymże czasie, 7 IV 1820, o godz. 11 w nocy, Fredro kreślił jakby notatkę do swego „pamiętnika duszy”. Zapewne ma ona charakter autobiograficzny i oddaje ówczesne nastroje samobójcze oraz nieporozumienia z ukochanym ojcem, przeciwnym jego uczuciu. U schyłku 1820 lub z początkiem 1821 r. powstaje elegijny wiersz pt. *Dumania* (dochował się w stanie mocno okaleczonym), intymnością uczuć poświadczający głębokie tragiczne przeżycia spowiadającego się podmiotu lirycznego:

Jak zwierz, którego psiarnia dochodzi zawzięta,
 Śmierć postrzega przed sobą lub okropne p[ęta],
 Wstecz się udać nie może, naprzód iść się [boi],
 Bez nadziei ratunku drzy i w miejscu [stoi] –
 Równie i ja w ciernistą drogę zap.....
 Czarną chmurę nieszczęścia uka.....
 Nigdzie świata nie widzę, lecz.....
 Życie dla mnie ciężare[m]

¹⁰ *Ibidem*, s. 359.

Rodzi się zatem myśl o śmierci samobójczej:

Moja w twoim objęciu nadzieja się mieści;
 [.]
 Śmierć, — tak, śmierć z własnej sobie poprzysiągłem woli,
 Znajdę szczęście lub raczej uniknę niedoli; [F 11-1, 13, 16, 17]

Bracia Fredry, żywo przejęci dramatyczną sytuacją Aleksandra, wspomagali go różnymi radami, jak np. w żartobliwym, cytowanym już liście Juliana, pisanym z Cisnej 7 II 1821:

Kiedy już tak ostatecznie, ile się zdaje, jesteś zdecydowanym nie zerwać rószczki [!] mirtowej (co by wiele przeszkadzało w tym czasie), to roztwórz kampanię z tym tak strasznym i śmiałym nieprzyjacielem; wszak im większe cierpienie i głogi, tym większe zwycięstwo. Sława byłaby to nie lada; tyle lat niezwykłego pokonać.

Ale że to ja czasem lubię morał powiedzieć, więc i teraz powiadam: Pomyśl, panie bracie, że się do 3-go zbliżacie krzyżyka, a Wołko już raty powypłacał i pszenicę do Gródka zabrano. Trzeba by więc coś o jutrze pomyśleć, jakeśmy to często w Jatwiegach gadali. [F 14, 324]

Tę niewiarygodną stałość uczuć Aleksandra Fredry, dawnego wietrzniaka, wartogłowa, birbantującego bawidamka, zdobywcy serc i wroga rogaczy z lwowskich salonów, autora swawolnych erotyków krążących w licznych odpisach, chcieli doświadczyć i podważyć jego bliscy, szczególnie najstarszy brat Maksymilian, mieszkający wówczas z rodziną we Florencji. Umyślili przerwać tę beznadziejną sytuację i wyswatać Aleksandra z... Rosjanką, hr. Elżbietą Buturlin, krewną Praskowii z Gołowinów Maksymilianowej Fredrowej. Zachowała się w tej sprawie bardzo interesująca korespondencja Maksymiliana do brata, świadcząca o motywach tej „spekulacji” i o charakterze owych swatów. Korespondencja iście farsowa, szczególnie w tych listach, które w miarę przybliżania się momentu przyjazdu Aleksandra do Włoch dewalują stopniowo nie tylko urodę kandydatki, ale i jej posag oraz dziedziczone w Rosji „dusze”.

Ostatecznie o przyjeździe konkurenta do ręki Elżbiety Buturlin zdecydował ojciec, Jacek Fredro, obliczywszy skrupulatnie — jak to zwykle czynił — posag przyszłej synowej. Nie wiemy, czy te plany znane były Zofii Skarbkowej, przebywającej w Lubieniu. W tym czasie — oczywiście — wizyty Aleksandra w Lubieniu musiały ustać.

Oficjalne, zdroworoządkowe konkury Aleksandra odbywały się we Florencji i Rzymie. Ale Fredro czuł się obco w tym świecie oraz — co najbardziej niepokoiło lwowską rodzinę — był niezdecydowany w sprawie projektowanego małżeństwa. Czyżby go zawstydzaly — powiedzmy żartobliwie — kreacje i losy własnych bohaterów komediowych?

Wreszcie nagłą decyzją przecina wszystkie plany. Znamy ją z lakonicznej, a nie spełnionej zapowiedzi gawędowej z *Trzy po trzy*:

Kiedys państwu i o tej podróży [do Włoch] opowiem, jak wyjechałem ze Lwowa do Florencji w zamiarze ożenienia się z panną Elżbietą Buturlin, jak to i dlaczego nie przyszło do skutku... jak się nareszcie puściłem do Neapolu, ale chywycony splinem w Rzymie, kazałem nawrócić i wróciłem do Beńkowej Wiszni. [F 13-1, 181]

Zapewne najważniejszym portem tego powrotu do kraju w lipcu 1824 miał być Lubień z jego mieszkanką, którego jednak Aleksander, ze względów rodzinno-towarzyskich nie śmie od razu odwiedzić. Maksymilian zaś prze-

prasza listownie brata za swe nieudane swaty i za pomyłkę w wyborze niestosownej kandydatki.

W owych latach nastąpiła najgłębsza depresja obojga beznadziejnie zakonanych i oczekujących zakończenia ciągnącej się sprawy rozwodowej. Zofia szukała pocieszenia u swego spowiednika lwowskiego, Aleksander rzucił się w wir spraw gospodarczych, objawwszy w listopadzie 1824 Beńkową Wisznę, a więc majątek i dwór godny już przyjęcia Zofii z pałacu lubieńskiego. Pisał także wówczas (w pierwszej redakcji) swą komedię o magnetyzmie serc (1827 r.).

Chorobliwie desperującego Aleksandra pociesza jego brat Julian w liście z 9 III 1825:

Czemuż nie jestem teraz z Tobą, abym mógł wszystko wygadać, co czuję. Ale Twój stan terazniejszy potrzebuje samotności, jak żal potrzebuje wylewu łez, aby się cokolwiek ukoił. Gwałt, któren sobie zadajesz w udaniu czasem wesołości, która nie jest naturalną, pomnaża smutek przez raptowne zwrócenie myśli na siebie samego. Skarz się, narzekaj, myśl, ale nie desperuj, bo nie masz do tego powodu; nie mów, że smutek Twój w nienawiść się zmienia, bo serce Twoje nie zna nienawiści; nie ubliżaj sobie, bo sam siebie szanować musisz, a co najboleśniejsze, odrzuć tę myśl, aby smutek Twój mógł od Ciebie odstraszać, bo cóż zostanie tym za nadzieją widzenia Cię kiedy bądź spokojniejszego, którzy szczerze czują i dzielą z Tobą choć niewiadomy powód Twego położenia, a przez ten udział choć w części żal Twój zmniejszyć by chcieli. [F 14, 376–377]

Zabiegi o unieważnienie małżeństwa Skarbków rozpoczęto w drugiej połowie r. 1825, ale proces włókł się długo. Aleksandrowi brakuje już cierpliwości, stąd skargi w liście z lutego 1827 do Maksymiliana:

Ale cierpliwości! cierpliwości! Święte słowo! Zdaje się, że świat w duszach naszych nie wyciska, ale wypięka. „Cierpliwości” – także mi we Lwowie powiedziano. Rad nierad mieć ją muszę – być za najcierpliwszego człowieka. Bo nikt nie słyszy moich monologów – za długich, a przez to nieklasycznych. [...] Piszmy komedye, grajmy tragedye na tym świecie. [F 14, 71]

A Fredro napisał ich w tym okresie miłości lubieńskiej aż piętnaście.

Unieważnienie małżeństwa kościelnego Skarbków (w c.k. Austrii leżało to w kompetencji władz świeckich) przeprowadzono – jak informuje Jabłonowski – na „fundamencie nie ogłoszonych zapowiedzi, w jednym z kościołów należących” do Skarbka (J 111).

Najświętszy Majestat Królewski najwyższym dekretem z dn. 23 września 1828 [...], w sprawie Zofii hr. Skarbek, powódki, przeciwko Stanisławowi hrabiemu Skarbek, pozwanemu o orzeczenie nieważności małżeństwa zawartego między nimi, po założeniu rewizji przez obrońcę małżeństwa, adwokata Kozieradzkiego, przeciwko wyrokowi sądu szlacheckiego [tj. ziemskiego] lwowskiego z dn. 3 marca 1828 [...] i apelacji trybunału z dn. 7 maja 1828 [...], za których pośrednictwem małżeństwo między Zofią [...] i Stanisławem [...], zawarte w kościele parafialnym w Krościenku dn. 23 sierpnia 1814, uroczyste pobłogosławione, zostało uznane za nieważne [...]. Lwów, dnia 27 października 1828 [...] ¹¹.

W tymże roku widzimy Fredrę podróżującego często na trasie Beńkowa Wisznia – Lwów, z przystankami w Lubieniu. Skrupulatny pan młody notuje w swych *Zapiskach* zakupy związane ze ślubem, np. garderoby, mebli, obrazów. Jeździ także do Korczyny, majątku posagowego przyszłej żony, by tam m.in. zorganizować swój ślub kościelny. Równie ruchliwy tryb życia prowadzi Zofia,

¹¹ B. Zakrzewski, *Fredro z paradyzu*. Wrocław 1976, s. 205–206.

wyjeżdżając nawet do Wiednia dla popchnięcia sprawy rozwodowej, znajdującej się już w najwyższej instancji¹².

Teraz zdarzenia potoczyły się galopująco. Ów upragniony, desperacko wyczekiwany ślub oraz huczne wesele powinny odbyć się w pałacu lubieńskim, gnieździe wiernej miłości Zofii i Aleksandra. Jednak – zapewne – wskutek sprzeciwu apodyktycznej teściowej Fredry, przeciwnej zawsze temu małżeństwu oraz liczącej się także z opinią towarzyską, zorganizowano ślub na ustroniu, daleko od parafiańskich oczu i języków, bez udziału krewnych, nawet najbliższych. Ze strony tych ostatnich był to skandalizujący bojkot. A może taka była wola „młodej pary”, która już nazbyt wiele doznała przeszkód, prób upokorzenia i rozmaitych oszczerstw w ciągu tych 11 lat bezprawnego wobec prawa „magnetyzmu serc”.

Jakaż to wspaniała, tuzinkowo-straganowa historia miłości dwojga chanków, jakby wymyślona w obiegowej od wieków topice, a jednak arcyprawdziwa, i to historia z życia największego naszego komediopisarza. „Piszmy komedynie, grajmy trajedyje na tym świecie” – w chwilach największych depresji.

Historia ta godna jest scenariusza do filmu kostiumowego, nieodmiennie wzruszającego maluczkich, także ze względu na jej finał, z niezwykłą, jakby wymyśloną przez scenarzystę ceremonią ślubną, którą opowiedział zgryźliwy szwagier Fredry, Jabłonowski, trywializując jej poetycką sztampe:

w 1828 roku w Dominika [Netrebskiego] i nie pomnę dlaczego [w] mojej przytomności [Jabłonowski nie był wszakże urzędowym świadkiem ślubu] zimnego, słotnego, ciemnego jesiennego poranka, kłękli w Korczynie przed ołtarzem, po mszy więcej do żałobnej niż do ślubnej mającej podobieństwa. Ani matka, ani nikt z naszej rodziny na ten dla nas wszystkich bolesny obrząd nie przyjechał. Gęstymi kielichami kopciuchy Dominik święcił swój tryumf, ja nieznośną zalewałem nudę i tak przedzrymałem i i przespałem ten ciemny, długi dzień, który koniec końców skapał w morze przeszłości jak wszystkie. Za to nazajutrz w Krościenku bratowa nasza, a siostra tryumfatora [Fredro pisał o niej, iż była „uosobioną dobrocią i łagodnością”] wyprawiła babilońskie weselne gody. Urbański [Stanisław], cześnikowicz przy kolejnych [toastach?] wyczerpał cały zapas satyrycznych do nowożeńców przypowiastek, a mnie jakoś smutno i tęskno było w domu, który me dziecinne przekoływał lata, patrząc na serdecznie ukochaną siostrę obok męża przypominającego mi za każdym słowem Mefista szeptającego do Perelki. [J 111]

W komediach Fredry kończących się małżeństwem, zapowiadającym szczęście rodzinne, nie ma miejsca – oczywiście – na jego ukazanie. Natomiast bieg życia komediopisarza – od ślubu do śmierci (omal pół wieku) – realizuje taką zapowiedź w sposób iście idealny, ale już jakby na modłę *roman fleuve*, przedstawiającego dzieje trzech pokoleń Fredrów i rozrosłego ich klanu z przywódczą rolą wielkiego komediopisarza. W tej sadze rodzinnej Lubień jest centralną sceną miłości, o szczęśliwym przeciwieństwie finale. Miłości wszakże mniej znanej od głośnych „dziejów Mickiewicza i Maryli w Tuhanowiczach”, o których napisano tak wiele! Zwykliśmy bowiem częściej badać, przeżywać i sentymentalnie wspominać pamiętki miejsc miłości wielkich ludzi, które są twórczym świadectwem ich osobistych tragedii, literackich natchnień, ale i naszych o tych ludziach wyobrażeń.

¹² *Ibidem*, s. 204.